

## Zygmunt Gloger

(„Ziemia” 1910, nr 35)

Pierwsze Zebranie Ogólne Poskiego Towarzystwa Krajoznawczego wykazało zupełną jednogłośnie przy wyborze Prezesa Towarzystwa, powołując na to stanowisko Zygmunta Glogera.

Źródłem tej jednogłośnie było głębokie przeświadczenie, że na ziemiach polskich nie ma człowieka, któryby zrobił więcej dla krajoznawstwa polskiego nad autora Encyklopedyi Staroposkiej, zbieracza pieśni ludu, człowieka, który przez pół wieku czynem i piórem służył krajoznawstwu.

I oto dziś ta ziemia, którą ON tak kochał, czcił z bałwochwalczym ubóstwieniem, ta ziemia zazdrośnie powołała Go do swego łona. Zamknęły się łagodne, dobrotliwe oczy, zastąpił pełen pogody życzliwy uśmiech na ustach. Pierwszy prezes Polskiego Towarzystwa Krajoznawczego legł w trumnę. Zerwała się szarpnięta nić Jego Niezmordowanej pracy.

„Całe moje życie było ciężką pracą”, mówił czcigodny zmarły do swego spowiednika, „odchodzę spokojnie”. I rzeczywiście ogrom dokonanej przez ś.p. Zygmunta Glogera pracy jest zdumiewający. Zdaje się, że życia kilku ludzi trzeba by na wykonanie tych wielostronnych prac, do których zmarły przygotowywał się zawsze przez mozolne i drobiazgowo gromadzenie materiałów. Czerpał On je zarówno ze starych, pyłem wieków przyprószonych dokumentów, jak z tętniących życiem pieśni, podań i obyczajów ludu.

Późna noc czuwała nad Jego pracą, wital ranny świt Go przy robocie. Nie było dla Niego zbyt odległości, nie było niewygód podróży. Nie straszły Go niespane noce, uciążliwe drogi, zawieruchy jesieni, czy gromy letnich burz. Odmawiał sobie momentów wypoczynku, zrękał się zawsze swego ja, wiernej służki ukochanej idei.

Siły do tak mozolnej pracy czerpał ten zasłużony syn Ojczyzny z bezgranicznej miłości do ziemi ojczystej. Było to fanatyczne uczucie, pochłaniające całą istotę duchową zmarłego. W każdym Jego postępkach, w każdym zdaniu, w każdym czynie, w każdej pracy bije silnym tętnem ta wielka, żywiołowa miłość, to ukochanie bez pamięci, bez zastrzeżeń uwielbianej Ojczyzny.

„Ziemia ta ojczysta jest złączona nierozdzielnie z prochami przodków naszych, zroszona kroplami ich znoju, krwią setnych pokoleń, i gdyby możliwym było w naturze oddzielenie krwi pomarłego narodu od ziemi, to ze ściśniętej garści ziemi rodzinnej

pociekłaby kropla tej samej krwi, która w nas krąży...” pisał czcigodny zmarły.

Żadna też matka nie była tak czczona, tak uwielbiana, jak była wielbiona ziemia rodzinna przez zmarłego, co według słów Orzeszkowej, „posiada ten lot myśli i to serdeczne ciepło, które zdradzają uczoności, ukazując w nim poetę”.

Z zimnej krynicy niezmordowanej pracy i z płomienia uczucia miłości Ojczyzny tworzyła się u ś.p. Zygmunta Glogera potężna siła i wytrwałość, których owocem jest Jego naukowy i literacki dorobek.



Aleksander Janowski. „Ziemia” 1922, nr 1

Już jako szesnastoletni chłopiec spisywał pieśni ludu w rodzinnych swych stronach tykocińskich, a z wiekiem rozwijały się coraz szerzej, coraz potężniej skrzydła Jego lotów.

Młody chłopiec znad Narwi szerokim lotem i płomiennym sercem objął wszystkie ziemie polskie i wyrósł na dojrzałego męża, którego wzrok nie opuścił ani jednego zakątka świętej Ojcowizny.

Staral się zobaczyć osobiście każdy jej skrawek: „człowiek rozmoże w sobie miłość do ziemi rodzinnej, gdy pozna wszystkie okolice tej ziemi, i jej obszary w pamięci swej zachowa”. Te swoje słowa przez całe życie wprowadzał w czyn.



Zygmunt Gloger. „Ziemia” 1910, nr 35

Toteż Jego prace stanowią niewyczerpaną skarbnicę krajoznawstwa polskiego: fizyografia, etnografia, archeologia, historia, historia sztuki, ekonomia, statystyka i wiele innych gałęzi nauki wzbogacone zostały przez mrówcze prace zmarłego. A dokonywał tych prac niezmordowanie i raz nakreślonych zamiarów nie zmieniał. „Tamta wycieczka moja po Wiśle nie powiodła się, ale że nie zwykłem w niepo-

wodzeniu wykryć zamiaru z programem rzeczy raz rozpoczętych, więc choć prawie w ćwierć wieku postanowiłem dawny ten zamiysł skutecznić”.

Nic może tak nie charakteryzuje ś.p. Glogera, jak to Jego zdanie, wyjęte z pracy *Dolinami rzek*.

Gdy więc zamiarem Jego było poznanie ziemi ojczyznej, to od zamiaru tego przez całe życie na włos nie odstąpił, wszystkie siły ku uskutenianiu tych zamiarów wyczerpując. Dzięki też temu planowi pozostawił zmarły prace bardzo wielostronne: *O naszych stacyach krzemiennych, Osady z czasów użytku krzemienia nad Niemnem i na Podlasiu*, także „osady pod Sieniawą, Szczakową i Borkiem Fałęckim w Galicyi”, badał więc tereny bardzo rozmaite. Zostawił *Podróż Niemnem i Wycieczkę po Wiśle, W dolinie Biebrzy i Dziennik podróży po Bugu*. Zostawił pracę *Dawna ziemia Łomżyńska a obok Wołyni i wykopaliska moszczanickie, oraz Białowieżę*. Pisał *O żubrze litewskim i turze mazurskim*, zebrał 1000 pieśni ludowych, przysłowia ludu z okolic Tykocina, zagadki ludowe znad Narwi i Bugu i wiele, wiele innych prac.

Kompletna bibliografia dzieł zmarłego wykaże wielostronność Jego pracy, tu zwracamy uwagę tylko na objęcie w pracach całego obszaru ziem polskich.

Zostały też dwie wielkie prace rozpoczęte, a nieukończone; to: *Budownictwo drzewne i wyroby z drzewa w dawnej Polsce*, oraz *Słownik gwary polskiej i imion własnych w polskiej ziemi historycznej*. Korektę pierwszego ze wspomnianych dzieł robił ś.p. Gloger jeszcze w ostatniej swej chorobie, do drugiego zaś pozostawił przygotowanych 80.000 karteł z materyałami do zamierzonego słownika.

„Potrzeba mi jeszcze trzynaście lat życia, aby wykończyć zamierzone prace” mówił do nas nieboszczyk dwa lata temu. Zawzięty los jednakże nie dał się przebłagać, nić marzeń i planów musiała pęknąć, prace nie zostały ukończone, niestrudzony bojownik padł na stanowisku.

„Odchodzę spokojnie” mówił do spowiednika. Wielki filozof życiowy tu się odezwał. Spokój cechował jego prace, spokój cechował jego życie. Nie patrzył nigdy na osobiste korzyści, szedł jak dobry siewca, który sypie hojnie ziarno w ziemię, nie wiedząc, kto zeń korzystać będzie.

*Czy pójdę drogą, czyli się zostanę,*

*Siew rzucam na mą grzędę...*

*Runieście kwiatem, wy ścieżki zawiane,*

*Ku wiosnie, której ja już oglądać nie będę!*

*Czy pójdę drogą, czyli się zostanę,*

*Siew rzucam na mą grzędę*

*Runieście kłosem, wy pola orane*

*Na chleb. którego ja już pożywać nie będę!*

I poszedł drogą ten dobry, zacny Siewca. Cześć Jego czystej, szlachetnej duszy, cześć Jego nieskazitelnej prawości. Cześć Jego pracy niezmordowanej, cześć Jego bezgranicznemu umiłowaniu Ojczyzny.

Wielbiona przezeń Matka Ziemia tuli Jego zwłoki, wiatr wśród gałęzi powązkowskich drzew śpiewa kołysanki i pieśni żałobne, niesie powiewy znad rodzinnej Narwi. Może przelotem spocznie nad mo-



„Ś.p. Zygmunt Gloger przed swoim dworem (nowym) w Jezewie.” „Ziemia” 1911, nr 44. Fot. Mikołaj Wisznicki

giłą słowik z litewskiej dąbrowy i żaloszny zanuci śpiew, bolesną nutą, jaka dziś jęczy w sercach osieroczonego Towarzystwa naszego.

U mogiły tego Wielkiego Syna Ojczyzny, Prawego Obywatela tej ziemi, ślub składamy wiecznej pamięci na Jego ideały, ukochania i prace, aby radością cieszyć tego pogodnego, pełnego miłości Ducha.

Al. Janowski

Ś.p. Zygmunt Gloger ujrzał światło dzienne d. 3 listopada 1845 w Kamionkach (w Augustowskiem) jako syn Jana i Michaliny z Wojnów. Po ukończeniu nauk gimnazjalnych w Warszawie wstąpił do Szkoły Głównej, z której po upływie lat paru przeniósł się do Wszechnicy Jagiellońskiej w Krakowie. Już wówczas cechowała go rozwijająca się coraz silniej namiętność, która później celem i treścią życia się stała, do zbierania pieśni, przysłów, bajek, wykopalisk, strojów ludowych, broni i ksiąg. Działalność swą naukową rozpoczął w r. 1867 wydaniem *Obchodów weselnych* drukowanych w tłocznich uniwersytetu krakowskiego, pracy nie tylko obszernej rozmiarami, ale poprostu zdumiewającej ilością materiału, jaki młody, 22-letni uczony zdążył zgromadzić. Szczupła tylko ilość egzemplarzy wydana była pod imieniem i nazwiskiem autora, na pozostałych figurował pseudonim Pruskiego (od herbu Prus). A poza

tem aż do dnia ostatniego ciągnął się niewyczerpany szereg prac, czasem drobnych rozprawek i przyczynków, niekiedy dzieł, które by człowiekowi mniej żelaznej pracowitości mogły życie wypełnić. Nie jest zgoła możliwe wymienić je w systematycznym zestawieniu już dzisiaj, samo bowiem zebranie rozproszonych po rozmaitych czasopismach i wydawnictwach okrucich byłoby pracą nie lada. Podjęcie się tej pracy, spłacenie tego długu wdzięczności wobec czcigodnego zmarłego, który nie tylko przewodniczył pracom naszego „ukochanego”, jak je sam w ostatnich godzinach nazwał, Towarzystwa, ale i pisma naszego był stałym współpracownikiem i przyjacielem, uważać będziemy za święty swój obowiązek. Na razie wszakże poprzestać musimy na zaznaczeniu, że do ostatniego tchnienia ten niezmodowany pracownik nie wypuszczał ze słabnącej już ręki pióra, że jeszcze po dokonaniu przed kilkunastu dniami opercyi zajmował się korektą *Budownictwa drzewnego*, którego tylko tom I i 3 dalsze zeszyty zdążył wydać przed śmiercią. Niewątpliwie w spadku rękopiśmiennym zmarłego znajdzie się jeszcze plon obfity i cenny, bądź jako wykończone prace, bądź w postaci zebranego materiału. Do tej ostatniej kategorii należy przede wszystkim nieoceniony pod względem wartości dla przyszłego pracownika zbiór nazw imion własnych polskich, którego potrzebę

uzasadniał śp. Głogier w jednym z pierwszych numerów „Ziemi”, a który sięga olbrzymiej liczby kilkudziesięciu tysięcy nazw.

W tece naszej leży też zupełnie przygotowana do

druku jedna z ostatnich prac zmarłego, *Grody pias-towskie*, którą w jednym z najbliższych numerów z czytelnikami się podzielimy.

## List z Zakopanego

(„Ziemia” 1910, nr 3)

Żyją jeszcze w Zakopanem górale, którzy w dzieciństwie swoim nie widywali ani jednego „gościa” na Podhalu. Obecnie lista gości tegorocznych zanotowała 11250 nazwisk, co jest już poważną liczbą. Znaczna część turystów przesuwają się naturalnie w lecie, ale od kilku lat i sezon zimowy bywa ruchliwy, a niewątpliwie nadejdą wkrótce czasy, że sezon zimowy będzie nie mniej ożywiony, niż letni.

Zwłaszcza święta Bożego Narodzenia ściągają do Zakopanego licznych przybyszów ze wszystkich ziem polskich, a Królewiaczy stanowią lwią część wigilijnych gości.

Zakopane w zimowym swym majestacie jest tak urocze, że wiele osób przekłada sezon zimowy nad letni. Nie odstrasza też turystów okropne niewygody podróży, podczas której na 208 kilometrach trzeba się 5 razy przesiadać (Granica, Szczakowa, Trzebinia, Kraków i Chabówka), co nadaje podróży koloryt „nadwiślański”, zwłaszcza że i rozkłady pociągów są ułożone, jak gdyby w Iwanogrodzie: każdy pociąg przybywa na stację węzłową w pół godziny po odejściu tego pociągu, który mógł wieść podróży dalej. Nadto od Chabówki do Zakopanego pociąg najwyraźniej wystukuje kołami piosenkę góralską:

*Oj góról ci jo góról, do w małym kapelušku  
Oj wszystko unim robić, do ino pomalušku!*

Nauczony przez sto lat anielskiej cierpliwości Polak kupuje w Krakowie powrotny bilet, na którym c.k. stylem urzędowym napisano: „bilet nieprzenośny”, co ma znaczyć, że nie może być oddawany innym, i wędruje, wyczekując po pół godziny w Suchej i Chabówce.

Przed oczyma duszy rysuje mi się niski garb Gubałówki, otulony w puszystą, śnieżną szubę, w uszach dźwięczą mu dzwonki wartko mknących saneczek góralskich, to też smutne rozczarowanie spotyka go, gdyż tegoroczna beznieżna zima i w Zakopanem na święta nie zasłała śnieżystych obrusów.

Bloto, deszcz, mgła i miejscami gołoledź - oto koloryt tegorocznej Wilii na Krupówkach. Pomimo że turystów ściągnęło dość dużo, lecz na ulicach nie widać ich prawie, bo niepogoda nie zachęca do spaceru. Wieczorem prawie we wszystkich pensjonatach i hotelach zabłyśły światełka choinek, a goście przy opłatku składali sobie życzenia pogody na święta.

Niebo jednak nie sprzyjało gościom: całe pierwsze święto nie padał, lecz lał bezustannie deszcz, chlapanina była niemożliwa, błoto jak za Żelazną Bramą, słowem, czarna rozpacz ogarniała przybyszów.

Afiszę, zapowiadającą kursy narciarskie i wycieczki na ski, malancholijnie zwisały z tablic, siedmiobarwne programy *Betleemu* Rydla żałościwie strugi farby rozlewały po parkanach, a na wystawie „Sztuki Podhalańskiej” drzewa samotna i opuszczona kasyerka. Na szczęście w nocy deszcz zmienił się na śnieg i w drugie święto rano już całun biały pokrył góry i doliny, zabrzączały dzwonki sanek, ożywiły się sporty saneczkowy i narciarski, cały dzień bajeczne były efekty świetlane na Giewoncie i Wirnach, a równocześnie, gdy purpurowe zorze płomieniły się na zachodzie, zza wschodnich gór wypłynęła niepokalanie błyszcząca tarcza księżyca w pełni i zaległa góry mistycznym blaskiem nocy miesięcznej.

A sala teatralna w Morskiem Oku brzmiała hej-nalem koładowym, tam bowiem Związek górali i chóry włościańskie grały *Betleem Polskie*, przygotowywane przez parę adwentowych tygodni. Na sali serdaki, cuchy, cyfrowane portki, sute spódnice i chustki góralk, świergot dzieciarni. Nabożny zachwyt nad Żłobkiem, szczere, serdeczne wybuchy śmiechu przy dowcipach, jakiemi sieje Jędrzek-Mędrerek, lub Lejba Arendarz. Nastroj z dawnych misteryków, co dały początek teatrom. A sunie tu orszak królewski, i Kazimierz W., i Jagiełło, i Batory i Jan III. Sunie i konfederat barski i raclawicki kosyner. Jest unita podlaski i mieszcza z Wrześni, cały korowód drogich postaci. To Betleem i ta noc gwiaździsta, ta poświata księżycowa po całunach śnieżnych, ten purpurowy blask w okienkach wysoko rzuconych chat, a powietrze przedziwnie czyste, drgające głosem licznych dzwonek, sownice, z hojną nawiązką wynagradzają i trudy podróży i posępne dni niepogody. Kto raz zobaczył Zakopane w zimowym majestacie, ten nie zapomni nigdy bajecznego efektu tych granitowych kolosów w śnieżne szuby okutanych.

Toteż z roku na rok liczba gości zimowych będzie się zwiększała, zwłaszcza, jeżeli będą czynione ułatwienia dla turystów. Niestety, c.k. ministerium kolejowe nie bardzo łskawe jest na turystykę galicyjską, choć popiera gorąco ruch turystyczny w innych częściach państwa. „Nieprzenośne” bilety przeniosły

się od 1 Stycznia 1910 r. do wieczności, parodniowa wycieczka z Krakowa do Zakopanego zdołała wobec tego o 5 koron.

Wracający z Zakopanego gość zimowy wpada znów w nastrój spod Skarżyska: pod Chabówką w wagonie brakuje już gazu, światła wszystkie gasną, a konduktor oznajmia jadącym: „Komu się rozchodzi o światło, to może se przejść do innego wozu, a komu się nie rozchodzi, to może i tak do

Krakowa dojechać”. W tym czasie p. Zawiadowca tłumaczy komuś świąteczne nieporządki w kursowaniu pociągów: „Cug z Granicy był ferszpetery i nie miał anszłusu w Trzebini...”. O drogie białe Kopy Magóry, o smerekowe tajnie regli i śnieżne równie hal, z obrazem waszym w duszy wracam na mazowiecką równinę, marząc, aby stały był między wami „anszłus”.

Al. Jan.

## 50-lecie Szkoły Głównej

(„Ziemia” 1912, nr 50)

W rewolucji listopadowej naród nasz stracił nie tylko wojsko, skarbowość i sejm, stracił też i jedną wyższą uczelnię: „Uniwersytet Królewski”, w Królestwie Kongresowym wysoko trzymający pochodnię oświaty.

Brak uniwersytetu dla cywilizowanego narodu jest klęską, dotkliwie podrywającą normalny jego pochód na drodze postępu i rozwoju kulturalnego. Taka klęska trapiła Królestwo przez tygodzieci lat od 1832 do 1862 i wtedy młodzież polska ograniczać musiała swoje studia do wykształcenia tylko gimnazjalnego. Jakże to szczyrby musiało uczynić w umysłowości polskiej — nie trzeba nikomu tłumaczyć.

Epoka rozbudzenia się narodowego, epoka reform Wielopolskiego, rozbłysła nad krajem wspaniałą zorzą lepszej doli, a w pierwszym rządzie zdecydowano stworzyć wszechnicę, bez której niemożliwością było pomyśleć nawet o reorganizacji.

Wydrukowany w No 28 z 5 listopada 1861 „Dziennika Powszechnego” *Projekt organizacji zakładów naukowych w Królestwie Polskiem* zaznaczał, że celem Szkoły Głównej jest „utrzymanie i podniesienie ogólnego kształcenia w kraju, rozkrzewienie wyższej oświaty i na koniec dalszy postęp i doskonalenie samych nauk”.

Opracowany przez Komisję z Wielopolskim, Krzywickim, Korzeniowskim, Przyszańskim i innymi program organizacji szkoły zatwierdzony został ukazem z 20 maja 1862 roku, można więc było otworzyć wszechnicę.

Nad uczelnią zwierzchnią władzę sprawował rektor: on był reprezentantem jej w stosunkach zewnętrznych, on miał władzę nad wszystkimi wydziałami i ich działaniami. Wydziałów było cztery: lekarski, prawa i administracji, matematyczno-fizyczny i filologiczno—historyczny.

Na katedry profesorskie powołano zastęp mążów od dawna już znanych ogółowi z głębszej nauki, lub też sił młodszych, które zwróciły na siebie uwagę pracami naukowymi. Objęli katedry między innymi: na wydziale prawnym: Jan Kanty Wołowski, Walenty Dutkiewicz, Władysław Holewiński, Antoni Białe-

cki, Paweł Popiel; na matematyczno-fizycznym: Benedykt Dybowski, Augustyn Frąckiewicz, Jakób Natanson, Konstanty Gorski, Jerzy Aleksandrowicz, a jako adyunkci: Adam Prażmowski i Karol Jurkiewicz. Na wydziale lekarskim rozpoczęli pracę dawni profesorowie Akademii Medyko-Chirurgicznej: Le Brun, Tytus Chałubiński, Władysław Trychowowski, Antoni Kryszko, Wiktor Szokalski, Polikarp Girsztowt, Henryk Hoyer, wśród adyunktów: Ignacy Baranowski; wreszcie na wydziale filologiczno-historycznym: Józef Kowalewski, Kazimierz Plebański, adyunkci: Feliks Jezierski, Augustyn Szmurło.

Na razie komplet profesorski składał się z 58 osób. Pozostawał jeszcze wybór rektora.

Na trudny ten postereunek należało wynaleźć człowieka o wielkiej wiedzy, wielkim taktcie, wielkich stosunkach. Człowieka, który mógłby ochraniać uczelnię od groźących jej niechęci z ministerów petersburskich, a jednocześnie mieć zaufanie i miłość młodzieży.

Wybór Wielopolskiego padł na doktora medycyny Józefa Mianowskiego, który był człowiekiem iście opatrnościowym. Jako profesor Akademii Medycznej Wileńskiej posiadał on i obszerną wiedzę i znajomość spraw wyższej uczelni, jako lekarz domowy członków Rodziny Panującej w Petersburgu miał tam obszerne i wpływowe stosunki, nade wszystko zaś jako człowiek nieskazitelny charakteru i gorącego serca szedł z niem do swych wychowañców. Kochał młodzież i był przez nią kochany.

Pod tak wybitnym kierownictwem potoczyła się praca w uczelni, co trwało tylko 7 lat (1862—1869), a dała owoce swoje narodowi na długie dziesiątki lat. Żadna może jeszcze uczelnia w Polsce nie dała tylu tak wybitnych pracowników naukowych i społecznych, jak Warszawska Szkoła Główna.

Działalność jej wychowañców ogarnęła wszystkie dziedziny wiedzy i życia. Przed pracownikami społecznymi zjawily się do pracy nowe tereny, otworzyły się zawory chaty chłopskiej i stanął do rzędu obywateli potężny żywioł ludowy.

Z grona wychowañców Szkoły Głównej wyszli nie

tylko wielcy uczeni, ale i wielcy krzewiciele wiedzy, i zapromieniowało ich światło tam, dokąd nie mogła jeszcze dotrzeć ani Komisya Edukacyjna, ani Towarzystwo Przyjaciół Nauk, ani Królewski Uniwersytet, jako instytucja powołana przeważnie jeszcze dla przodującej klasy szlacheckiej.

Nie było żadnej dziedziny życia w Polsce, gdzie by nie zaważyła stanowczo i decydująco praca wychowawców Szkoły Głównej. I nasze prace krajoznawcze nie dałyby się zupełnie prowadzić bez fundamentów, założonych już przez Szkołę Główną. Długa byłaby lista prac krajoznawczych profesorów, jako też i uczniów wszechnicy, niepodobna jednak pominąć milczeniem tak pomnikowego wydawnictwa, jakim jest *Słownik Geograficzny Królestwa Polskiego i ziem przyległych*, który zaczął śp. Filip Sulimierski, ukończył zaś prof. Bronisław Chlebowski, nasz czcigodny Członek Honorowy, obaj wychowawcy Szkoły Głównej.

W pracach wychowawców uczelni nicią przewodnią była miłość ziemi i miłość ludu, cechy tak wybitnie wiążące się z kulturą zachodu. Nie darmo widać mówił dostojny rektor w dniu otwarcia wszechnicy: „będzie ona przybytkiem tej wielkiej zachodniej cy-

wilizacji, którąśmy niegdyś z taką chwałą pielęgnowali u siebie, z taką zasługą krzewili wśród dalszych krajów i plemion”.

Taką tendencją przejęci prowadzili wychowawcy Szkoły Głównej swe prace naukowe i społeczne, wyciskając na umysłowości polskiej charakterystyczne piętno demokratyzacji wiedzy. Jako żywy przykład tego kierunku wskazać należy owocną pracę Muzeum Przemysłu i Rolnictwa, zawiązanego i kierowanego przez wychowawców Szkoły Głównej, o czym w No 20 „Ziemi” tegorocznej obszerniejsze składane było sprawozdanie.

W poniedziałek 25 listopada uroczyste obchodzono 50-lecie otworzenia Szkoły Głównej. Cały kraj składał hołd pamięci tej dawnej uczelni, co tak potężny wpływ wywarła na polskie życie umysłowe, a wychowawcom jej składano życzenia długiego jeszcze zdrowia i życia. Te same gorące, serdeczne życzenia raz jeszcze tu powtarzamy, głosząc hołd wdzięczności za obywatelską pracę dla narodu czcigodnym profesorom i wychowawcom Szkoły Głównej.

Al. Janowski

